

ZBIGNIEW BENEDYKTOWICZ

„Tajemnicę czynić bliską...”*

Rozmowa z Włodzimierzem Staniewskim

Zbigniew Benedyktowicz: Cieszę się, że udało się złożyć tak obszerny numer o „Gardzienicach”, „raport o „Gardzienicach” roku 2000”, szczególnie o Pana i Pańskiego zespołu ostatnich działaniach – *Metamorfozy*, Festiwal *Misteria*, *Inicjacje*.

Nie wszystko udało się nam zgromadzić w tym numerze tak, jak początkowo zamierzaliśmy. Ale tym bardziej u końca tej drogi pragnąłbym Panu zadać parę pytań, bez których cała ta praca i całe to wydawnictwo (bieżący, poczwórny numer „Kontekstów”) mogłoby się narazić na zarzuty, z jakimi spotykają się niekiedy i inne próby opisanie zjawiska jakim są „Gardzienice” i Pańska droga twórcza. A mianowicie chciałbym uchylić zarzut, że oto powstaje kolejne dzieło apologetyczne, entuzjastycznie nastawione, unikające kwestii trudnych, akcentów krytycznych. Dla mnie akurat entuzjazm wobec rzeczy wielkich i znaczących nie jest czymś, czego trzeba by unikać bądź się wstydzić. Nie poczytuję go za wadę. Ale wobec tworzącej się już niemal legendy na temat „Gardzienic” i pewnych obszarów pozostających w cieniu milczenia chciałbym także i o nie zapytać w dalszej części naszej rozmowy.

Najpierw jednak zacznijmy od końca: Co dalej przed Panem i „Gardzienicami”? Jakie projekty w najbliższej (i dalszej) przyszłości? – Co po *Metamorfozach*?

Włodzimierz Staniewski: ... „zostanie złom żelazny... i głuchy, drwiący śmiech...”

Zbigniew Benedyktowicz: Ostatnio prezentowany *Kosmos* „Gardzienic” jest jakby budowaniem ciągłości pomiędzy – nie wiem czy aż *Gusłami*, – ale na pewno pomiędzy *Carmina Burana*, *Awwakumem*, *Metamorfozami*. *Kosmos*... to jest taka jakby repetycja... Nie wiem, bo nie widziałem tego...

* Tytuł pochodzi od redakcji. Jest to cytat z innej wypowiedzi W. Staniewskiego [por. strona 218].

Włodzimierz Staniewski: Nie... *Kosmos* to jest przerzucanie mostu między przyszłymi a przeszłymi laty, jak to jest pięknie u Mickiewicza powiedziane „Pieśń ujdzie cało...”

Zbigniew Benedyktowicz: A co będzie dalej? Jaki następny most po *Metamorfozach*? Następny przystanek?

Włodzimierz Staniewski: Ja mówię o Eurypidesie. Chciałbym zająć się postacią Eurypidesa. Tak, jak mnie fascynowała postać Apulejusza, tak teraz trzeba tę całą sprawę grecką doprowadzić do końca, przeorać tożsamość tym pytaniem z wykrzyknikiem o spuściźnie, o naszym europejskim, a więc śródziemnomorskim dziedzictwie.

Zbigniew Benedyktowicz: A Eurypides, co konkretnie?

Włodzimierz Staniewski: Przede wszystkim Eurypides jako osoba. On powinien być główną postacią utworu..., następnego eseju teatralnego.

Zbigniew Benedyktowicz: Dlaczego?...

Włodzimierz Staniewski: Bo on jest kwintesencją tego, co w starożytności mogło być próbą łączenia tak zwanej kultury wysokiej z kulturą niską. Człowiek niezwykły. Nie tylko z powodu miejsca w historii, ale z powodu – jakby to powiedzieć – dziwactwa. Jest autorem największej ilości dramatów, jakie zostały nam po starożytności, ale to odludek, chodzący swoimi wilczymi tropami, stroniący od towarzystwa, z dala od establishmentu, szukający schronienia w miejscu odosobnienia na Salaminie. To miejsce odosobnienia było pieczarą. Siedział tam, zwrócony w stronę morza i medytował. W tej pieczarze zgromadził wielką bibliotekę, zdaje się, że była to pierwsza tego typu prywatna biblioteka w czasach starożytnych. Był człowiekiem, który wałęsał się po wsiach, pił – dzisiaj powiedzielibyśmy – z chłopstwem, słuchał podań i legend. Nie zabiegał o względy w Atenach, dlatego tak długo musiał czekać, a właściwie nie doczekał się w tychże Atenach na swoje pięć minut, na swój czas.

Pozostały po Eurypidesie ślady autorstwa muzyki w *Orestesie* i *Ifigenii w Aulidzie*. Musiał mieć bardzo dobre otrzaskanie w muzyce. Ojciec dobrze go wykształcił, choć współcześni śmiali się z jego pochodzenia, mówili, że ojciec to sklepikarz, a matka straganiarka. Był posłany do szkoły atletycznej. Startował zdaje się jako bokser w zawodach, gdzie odnosił sukcesy. Usuwiał się z towarzystwa, nie był karierowiczem, to jest ważne, to jest intrygujące w postaci.

Zajmował się tym, co jest jedną z największych tajemnic; istotą kobiecości. Zajmował się tajemnicą, na

temat której żartobliwie za Freudem powtarzam- „Zbadałem osiem tysięcy przypadków kobiet i nic z tego nie rozumiem.” Tajemnicą, którą językiem swojej epoki, wpisał w postać: Klitajmestry, Elektry, Ifigenii, Medei. Tych historii powinno się uczyć od najmniejszego, opowiadając je, jako bajki i baśnie chłopcom i dziewczynom. Po to, żeby mogli coś o sobie wzajemnie wiedzieć. Intryguje jego fascynacja tajemnicą pierwiastka żeńskiego i tym, że nie tylko ma on moc sprawczą, ale jest przyczyną szczęścia i nieszczęścia. Z natury swojej, nie z uczynków. Szalenie to ważne ponieważ świat dzisiaj staje się światem żeńskim.

Zbigniew Benedyktowicz: Chciałbym Cię zapytać: co jest ważniejsze dla Ciebie czy postać twórcy – to tak, jak w *Awwakumie* ten heretyk, konserwatysta, spalony na stosie, jego wielka namiętność, obrona swojej wiary itd. – Później Apulejusz, teraz Eurypides – co jest ważniejsze czy ta wspólność duchowa z autorami po których sięgasz, czy temat? Teraz mówisz przy Eurypidesie o pierwiastku żeńskości. Co jest ważniejsze, czy postać autora czy tematy, które podnoszą. Co Cię bardziej motywuje do zajęcia się nimi?

Włodzimierz Staniewski: Jedno z drugim pozostaje w ścisłym związku. Doświadczenie osobiste pozostaje w związku z wypowiedzią publiczną. Z Eurypidesem jest to o tyle ciekawe, że do niego przylgnął przydomek dramaturg-filozof albo filozof sceny. „Filozof” mógł być epitetem, niekoniecznie pozytywnym. Jedyny dramaturg-filozof. Widzimy go jak chodzi po rogatkach Aten. Chodzi sam. Inaczej niż Sokrates (który darzył go atencją), Platon, Alkibiades; całe to niebieskie, gwarne towarzystwo. Nie bierze udziału w dysputach, które toczą się na każdym placu, w każdym miejscu publicznym. Przysłuchuje się. To jest też czas, gdy pojawiają się stoicy. To jest rewolucja w myśleniu. Rewolta, ponieważ dochodzi do przewartościowania pojęć etycznych, postaw obywatelskich, praw społecznych, postaw osobistych. On przysłuchuje się temu i to wszystko jakoś zasysa. To wszystko ma wpływ na jego wypowiedź artystyczną, w której odbija się filozofowanie tamtego okresu. W jego dramatach co krok natrafiamy na sentencje, które brzmią jak mądrości ludowe, wypowiedziane gdzieś na rogu ulicy. Eurypides łączył środki wyrazu muzycznego – był muzykiem – z układaniem ruchu i z wypowiedzią słowną. Każdy ten model budował osobno, a potem składał to razem. I jeżeli mówimy o *chorei*, o tym, co mnie tak bardzo interesuje, po dytyrambie, to trzeba się zwrócić do Eurypidesa i trzeba tam szukać, w jego twórczości, zależności między muzyką, ruchem i słowem.

Fascynuje mnie jego operowanie między kulturą establishmentu, kulturą wysoką, a tak zwaną kulturą niską. Oczywiście bliska mu była przyroda, jak i życie lu-

dzi z nią związanych. On mi się jawi jak smok, który pożera naturę. A sposób, w jaki przetwarzał kulturę niską przysparzał mu wielu przeciwników. To przecież on pierwszy wprowadził do dramatu postaci z ludu. Przeciwwstawiał mądrość ludową mądrości agory, mądrości establishmentu. Pierwszy wprowadził postaci charakterystyczne, nie hieratyczne. Głęboko penetrował to, co jest charakterem, typem człowieka. Trzeba zwrócić uwagę, że to są chyba pierwsze postaci w dramacie antycznym, które mają charakter ambiwalentny, są głęboko rozdarte. Klitajmestra, która jest złą, winną wszelkim nieszczęściom, przewrotną, zdradliwą kobietą, wypowiada w *Elektrze* zdanie, którym zyskuje pełną sympatię. Niech sięgnę po książkę,

„Lecz choć mnie wtedy ta krzywda spotkała
Ja się nie wściekłam, męża nie zabiłam
Lecz wrócił z dziewczką szaloną, menadą
Łoże z nią dzielił i we dwie «małżonki»
Byłyśmy razem w tym samym pałacu”. itd.

Ona tłumaczy się ze swojego czynu, ze swej postawy życiowej, tak, że zyskuje sympatię. Agamemnon kała i rujnuje wszelkie rodzinne świętości. Orestes szamoce się, robi wrażenie nadwrażliwca, dla którego liczy się prawda, sprawiedliwość, czystość uczuć, ale zabija matkę z zimną krwią po wysłuchaniu w ukryciu jej spowiedzi, która wzruszyłaby kamień.

Eurypides bardzo przybliżył sytuacje mityczne i czyni je sytuacjami, na które trzeba spojrzeć z perspektywy: człowiek – człowiek, z perspektywy bardzo osobistej. Eurypides miał niezwykle dar, przez to, że egzystował w różnych sferach, miał niezwykle dar patrzenia na istotę ludzką z wielu stron. Orestes więc, jest postacią bardzo ambiwalentną.

Nikt nie jest jednoznaczny, cała ta rozmowa o ludziach, która dzisiaj odbywamy... pokazuje nam, jak bardzo skomplikowane i trudne w osądzie, jest życie ludzkie, istota ludzka, natura ludzka.

Eurypides przybliżył nam postać ludzką bo poznał życie tak zwanych dołów, gdzie sprawy, które są sprawami wiecznymi, stykają się z tym, co jest przyziemne i tutejsze.

Zbigniew Benedyktowicz: Nadal nie jestem pewien czy to wyczulenie na „doły”, to śledzenie wątku ludowego, niskiego, pierwotnego decyduje o tym czy bardziej Cię pociąga autor czy temat. Czy to nie jest takie programowe założenie, teza przyświecająca Twojej i „Gardzienic” twórczości. Bo kiedy mówisz o dramacie, Eurypidesie, wielostronności spojrzenia, wciąż przebiega jakby ta teza, że prawda leży po stronie kultury niskiej, ludowej, pierwotnej. Tam się przełamuje, tam jest ten dostęp prawdziwy do tajemnicy namiętności, zbrodni, miłości, śmierci. Prawda nie leży po tej oświeconej stronie, ale w tym bardzo pierwotnym śro-

dowisku. Czy ta teza, ten wątek nie jest niejako ważniejszy aniżeli sam temat: namiętność, zbrodnia, miłość, śmierć? – Zapytam inaczej, czy ta podróż do Grecji, „do źródeł” nie prowadziła Cię nigdy no, może – ktoś powiedziałby – do wtórnych ujęć. Do tego drugiego bieguna, mam tu na myśli Rilkego *Sonety do Orfeusza*. Czy nie kusiło Cię, żeby sięgnąć do niego, do tego słowa, z wysokiej kultury, które pojawiło się u początków XX wieku, do poezji, z tego drugiego, bardzo wyrafinowanego, bieguna?

Włodzimierz Staniewski: Ale Eurypides to jest bardzo wysoki i wyrafinowany biegun. Fascynujące jest jego doświadczenie biograficzne. Musiały tam być jakieś powinowactwa z Ikarią Tespisa, który stworzył podwaliny teatru starożytnego. To oczywiście trzeba by jeszcze przebadać.

Jego doświadczenie biograficzne jest fascynujące, tak samo, jak doświadczenie biograficzne Dantego, który nie trzyma się dworu, nie wisi u płaszcza wielkich – tak, jak doświadczenie Villona – że daje się upłatać w życie, w życie z tego, co boli.

Oczywiście, jest coś takiego jak fascynacja postacią. Człowiek szuka jakichś wzorów, odniesień, analogii do swoich własnych wyborów, do swojej postawy. Sięgać trzeba na wysoką półkę.

Rilke, tak, Rilke w swoich wierszach, które dla mnie ważną rolę inicjacyjną odegrały: „Wracam ze swych podniebnych dróg, gdzie zgubił się wśród lotu...”. Piękny wiersz. Mógłby być takim moim zawołaniem.

Przyłóżmy teraz to wyznanie do faktu, że Rilke włóczył się po rosyjskich wsiach, wiejskich chatkach. Ten subtelny Rilke.

Ale tu chodzi też o postać, która odgrywa jakąś rolę społeczną, która wywołuje jakiś ferment społeczny, której sprawy społeczne są nieobce. Przy pomocy instrumentów sztuki, talentów, którymi Bóg obdarzył, próbuje powiedzieć coś, wzruszyć coś w strukturach i układach społecznych. Awwakum był taką postacią, Taliesin był taką postacią, był – trzeba to przypomnieć – natchnieniem w pracy nad *Carmina Burana*, taki celtycki Orfeusz.

Oczywiście Orfeusz też był taką postacią.

Interesuje mnie nie tylko autor utworu artystycznego, ale interesuje mnie człowiek, który ma – to strasznie brzmi dzisiaj – wrażliwość i potrzebę działalności społecznej. Ktoś, kto jest uwikłany w życie i dokonuje wyboru w tym życiu. Ktoś, kto nie jest azylantem życia i dokonuje tych wyborów na dobre i na złe. Tak, jak rozmawialiśmy: po co na tej przegranej już od lat reducie tu trwać...

Zbigniew Benedyktowicz: No dobrze, dobrze... Teraz nie przepuszczę... – Twoje uwikłania. Twoja dro-

ga: Teatr STU Jasińskiego – Grotowski – Założenie własnego teatru...

Włodzimierz Staniewski: ... jest już wpół do czwartej rano...

Zbigniew Benedyktowicz: ... nic nie pomoże...

Włodzimierz Staniewski: (po dłuższej chwili milczenia i krzątaniu się)... Niebagatelna sprawa. Osobiste doświadczenie. Pierwsze było bardzo mocną przygodą społeczną. Pamiętam jak wyjechaliśmy ze *Spadaniem* zrobionym przez Krzysztofa Jasińskiego i Edwarda Chudzińskiego do którejś ze stocznii w 1971 zaraz po wyborze Gierka. Graliśmy w grudniu 1970 *Spadanie* w Łodzi. Decyzja jury pod przewodnictwem Pużyny o przyznaniu pierwszej nagrody została podjęta, bo tego dnia o 20. Gierek wygłosił słynne telewizyjne przemówienie. Jury nie miało wyboru (śmiech). *Spadanie* na podstawie Różewicza. Miało to silną nośność społeczną, nie mówiąc o tym, że była to duża lekcja życia. Bo środowisko artystycznej alternatywy po trosze było też politycznym podziemiem, środowisko kultury studenckiej mimo wszystkich koncesji, które robiło – dawało ostrogi postaw obywatelskich. No więc graliśmy w tej stocznii i pamiętam, jak w takim barze przystoczniovym, rano następnego dnia, jadłem z kimś z zespołu śniadanie. Któryś z robotników, którzy tam pracowali i wpadali na kawę z mlekiem, podszedł i niezwykle poruszająco podziękował za spektakl. Jak wyjeżdżaliśmy wcześniej do Łodzi, to ja się przebijając na pociąg przez łapankę milicyjną. Krakowski rynek otoczony był z czterech stron, trafiłem w środek, w ten kocioł. Była łapanka, ganiecie po bramach, gwizdy, wrzaski „gestapo”. A potem zaułkami do pociągu. Nie wiadomo było, czy pociąg w ogóle wyjedzie.... Atmosfera na tym festiwalu w Łodzi nie do opisania

A to drugie doświadczenie zupełnie odmienne; hermetyzm; izolacja, laboratoryjność, w przekonaniu, że się chwyta pana Boga za nogi...

Zostały ręce wyciągnięte do góry, a Bóg... Przywołałam tutaj Dormana, założyciela Teatru Dzieci Zagłębia. Gościłem go w Gardzienicach. Opowiadał jak pojechali do Francji do Nancy, gdzie odnieśli sukces, a potem pojechali do Paryża. Jego ludzie-on też górali miał w swoim zespole-chcieli iść do katedry Notre Dame. Jeden z nich stanął w tej katedrze, podniósł ręce do góry i wołał: „Panie Janie! To się łunosi i łunosi!” – Tam w Brzezince zostały „ręce do góry”.

Zbigniew Benedyktowicz: Jesteś tak postrzegany w plotkarskim świecie, że unikasz, czy nie chcesz mówić o Grotowskim. Dlaczego milczysz o Grotowskim?

Włodzimierz Staniewski: No cóż ja mogę mieć do powiedzenia. Ja mogę mówić tylko o doświadczeniu osobistym, które legendzie nie posłuży. Jak to się nie daje przyłożyć do legendy, to o czym ja mogę mówić?... Niech mówią ci, co pretendują do masy spadkowej po Grotowskim. Ja uciekałem stamtąd gdzie pieprz rośnie i gdzie diabeł mówi dobranoc. Położyłem całe swoje życie osobiste na szali. Mówiłem jasno i otwarcie, że to jest w kontrze do niego. On szanował tę kontrę, chociaż przez pierwsze lata był w popłochu. Nasyłał mi różnych takich, grał na uczuciach i ambicjach członków mojego otoczenia. Ja byłem fair wobec niego. Czy on był wobec mnie?

Były to bardzo ekscytujące cztery lata, chociaż z końcówką pytań, niepewności, rozgoryczeń.

Nie można mówić, że szuka się nieznanego, podczas kiedy to nieznanie wybiera z twego życia radość, energię, poświęcenie i to nieznanie trwoni twoje życie...

Dlaczego ja miałbym mówić o Grotowskim?

Zbigniew Benedyktowicz: Jakie były elementy tej kontry, tego sprzeciwu?

Włodzimierz Staniewski: No to wiadomo, tam była sytuacja zamknięta, laboratoryjna, a tutaj jest sytuacja otwarta, społeczna – ten rys społecznikowski. Tam – rodzaj hermetyzmu i takiego „docisku”, jak w Kole Sprawy Bożej u Towiańskiego „Brat Adam docisnął brata. Juliusza...”. A tutaj sytuacja wyjścia w ludzi, w przyrodę, w drogę, nie w sensie metafory, ale w sensie dosłownym.

Tutaj też doświadczenie egzystencjalne, kiedy człowiek musi znaleźć się w różnych środowiskach, niekoniecznie mu bliskich.

Szukanie swojego wśród obcych.

Szukanie swojej tożsamości poprzez innych ludzi. Częstokroć skrajnie i krańcowo odległych od tego jak ja i koledzy byliśmy uformowani. Stąd się wzięły Wyprawy a w nich sytuacje, które przybierały nieraz formę horroru, kiedy chciano nas *niezat*. Innymi znów razy doświadczałyśmy niezwyklej życzliwości i aprobaty, jakbyśmy byli jakimś zastępem proroków, niosącym radośną wieść.

Inne klimaty, inne zapachy...

Rozumiem, że mówimy o działalności kulturotwórczej i o ideach, nie o teatrze. W teatrze ja zacytowałem parę jego „chwytów” w *Auwakumie*. Demonstracyjnie, jako dowód szacunku, ale to było już po Rabelais’ie i *Gustach*, które były z zupełnie innej planety. On natomiast próbował naśladować moje poszukiwania ze śpiewem i Wyprawy. Nie poszedł jednak za daleko i nie pokazywał *Apocalypsis*... na wsiach.

Zbigniew Benedyktowicz: W tym „wyjściu”,

o którym mówisz jest ważny element niepewności... czy w środowisku Mistrza była pewność Mistrza?

Włodzimierz Staniewski: No nie, brzmi to, jak „szukanie haka” na Grotowskiego. A mnie to zupełnie nie interesuje. Mnie w tej chwili interesuje ja i moi koledzy – Rodowicz, Gołaj i młodszy, i to traumatyczne doznanie przez jakie przechodzimy, które jest wiekiem męskim, wiekiem klęski.

Zbigniew Benedyktowicz: Co zawdzięczasz Jerzemu Grotowskiemu?

Włodzimierz Staniewski: Wiele zawdzięczam... na przykład pierwszą podróż do Ameryki. – To dużo, Ameryka jest mitem. Wtedy szczególnie była mitem. Trochę ciekawych znajomości, które zresztą urywały się po kolei, jak się okazało, że „Gardzienice” nie będą epifrazą Grotowskiego.

Zbigniew Benedyktowicz: Wśród obserwatorów zauważone zostało Wasze spotkanie w latach dziewięćdziesiątych. Mówi się, że doszło wtedy do pojednania. O czym Panowie wtedy rozmawiali?

Włodzimierz Staniewski: Obserwatorów? Byłem obserwowany?... Zupełnie mnie to czyni bezradnym. Była więc to już pewnie sytuacja legendy, która – jak to bywa w takich wypadkach – ociera się o mistyfikację. Uczestniczenie w mistyfikacji jest sprawą niewdzięczną, jeżeli człowiek staje się ofiarą mistyfikacji. Legenda i środowisko legendy to jest wariatkowo. Weźmy na przykład legendy PRL-u.

Eurypides mnie interesuje, bo on pokazywał, jakie to jest wariatkowo i próbował przybliżyć wariatkowo mitu i legendy, przełożyć to na język życia takim, jakim ono jest.

Występujesz w roli bardzo niewdzięcznej, ponieważ występujesz w roli prokuratora diabła, nie adwokata. Jak kiedyś zwrócił mi uwagę pewien uczonec: nie jest prawdą, że był *advocatus diaboli* i *procurator dei*. Odwrotnie. Występujesz w roli *procurator diaboli*, bo cokolwiek bym nie powiedział, to będzie działało na moją niekorzyść.

Co mam powiedzieć?... że wypiliśmy butelkę koniaku?

Zbigniew Benedyktowicz: Wypiliście butelkę koniaku i o czym mówiliście?

Włodzimierz Staniewski: O Boże... o duszy i duchu. Jaka jest różnica między duszą a duchem. Nie mówiliśmy o podziale terytoriów. Najpierw zjedliśmy obiad w „Monopolu” o porze raczej późnej. We dwój-

kę siedzieliśmy w zupełnie opustoszałej restauracji; był tam bardzo zabawny kelner, z którym nawiązałem żywą rozmowę. Nagle powiedziałem mu: „Wie Pan, Pan przypomina mi postać z Worcella z *Zaklętych rewirów*. Na to kelner cały pokraśniał i mówi: „A wie Pan, że ja bardzo dobrze znałem się z Panem Worcellem. On tutaj przychodził często i pisał tu *Zakłęte rewiry*. A ten kelner tam był wiecznym kelnerem od 30 lat, no i w Jerzym wezbrała straszna zazdrość. On zawsze pytał „jak ty to trafiasz?”. A to jest po prostu intuicja... (śmiech)... to się nazywa intuicja, wyczucie, podejście do człowieka. Grot to ruszyło, bo kelner go tam z wielką atencją obsługiwał i to był „jego kelner”, a tutaj nagle stał się „moim kelnerem”. I to przypomina mi sytuację z Nowego Jorku. Przychodzi Grot na „Maraton” do katedry St John the Divine i po przedstawieniu idziemy do takiej knajpy włoskiej na rogu bodaj Cathedral Street i Broadway’u. Do odwiedzanej przeze mnie kafejki węgierskiej *vis à vis* katedry nie chciał iść pod pretekstem, że będą nam przeszkadzać. Myślę sobie – musi tu być bardzo znany, skoro w pierwszej lepszej knajpie mogą go ludzie nachodzić. Jesteśmy już po słowie z obsługą i nagle od sąsiedniego stolika podnoszą się trzy, czy cztery niewiasty, przypadają do mnie, obcałowują – widziały właśnie przedstawienie... To był „Maraton” (*Auwakum – Gusła – Zgromadzenie*) i ja przemawiałem do tej publiczności... Panie zachwycają się a Grot wstaje i mówi: „Wychodzimy stąd!” (śmiech). To raczej podobne do Kantora niż do Grotowskiego, ale to jest niestety szczerą prawdą. Po tych „Zaklętych rewirach” poszliśmy do niego do pokoju z butelką koniaku, on mówił, że już wiele nie może, ale towarzyszył dzielnie. Obgadywaliśmy interes.

Zbigniew Benedyktowicz: Co to był za interes? Jaka sprawa?

Włodzimierz Staniewski: Powiedzmy, że coś mu załatwiałem.

Zbigniew Benedyktowicz: Zaprosiłeś, zapraszałeś go tutaj do Gardzienic?

Włodzimierz Staniewski: Tak, on tu wpadł przed laty, na początku działalności, ze swojej inicjatywy. Ja się nawet opierałem, ale na jego upór nie było mocnych. Siedzieliśmy tam w czworakach, gdzie mieliśmy swoje kwatery. Niedługo potem wyrzucono nas stamtąd na zbity pysk w stanie wojennym. Najpierw okupowaliśmy dwa tygodnie. Potem na chwilę rozjechaliśmy się do rodzin. Jak wróciliśmy, nasze rzeczy wyniesione były na zewnątrz. „Oni cię tutaj kochają” – mówił o ludziach z mojego otoczenia – „A ja, jak zaczynałem, to do mnie aktor (nie powiem nazwiska) mó-

wił: «Wie Pan, jak patrzę na Pana, to mam na myśli jedno słowo: osioł»”.

Z perspektywy egzegetów tej, było nie było, nietuzinkowej postaci, mam pewnie wiele do powiedzenia. Ja tak nie uważam. Ja mogę powiedzieć za Stachurą: „Ty i ja teatry to są dwa...”.

Zbigniew Benedyktowicz: Czy więc, w tym i tych późniejszych spotkaniach z lat 90. były jakieś elementy powrotu syna marnotrawnego?

Włodzimierz Staniewski: (śmiech) No tak, *procurator diaboli*... pogratiulować. Nie widywaliśmy się. Rozmawialiśmy przez telefon. Wiesz, jest też inna formuła: „Ojciec marnotrawny”.

Zbigniew Benedyktowicz: Czy wtedy było łatwiej, czy teraz łatwiej, bo mówisz coraz częściej o trudach obecnego czasu, który zaczął się teraz w demokracji, po przemianach?

Włodzimierz Staniewski: Łatwiej jest być partyzantem. Znacznie łatwiej jest pisać notatki z podziemia, niż być strażnikiem wartości. Być strażnikiem normatywów, które się samemu ukuło, jest potwornie trudno. Warunki się zmieniły. Zrobił się potworny kociokwik tej rzeczywistości, rozprasający i rozbijający stan skupienia. Przedtem człowiek był jak laser, jak dobrze zogniskowana soczewka. Dawniej nie miałem żadnych wątpliwości, co do dokonywanych wyborów.

Jestem pełnym życia, młodym człowiekiem (śmiech), który nie chce dać się przywalić tą całą ponowoczesnością, w której mamy socrealizm *à rebour*; ekscytację tłumami, rynsztokowy epikureizm (słynne „świetnie się bawię”), politykierstwo przeżerające środowiska kultury, ignorancja w stosunku do historii a przez to owrzodzenie wstydlivych kart historii bliższej.

Zbigniew Benedyktowicz: Z „Gardzienic” wyszły i wypromieniowały takie grupy jak „Węgałty” Wacława i Erdmute Sobaszków, Wolfganga Niklausa i Małgorzaty Dzygadło, „Muzyka Kresów” Jana Bernarda, „Pogranicze” Krzysztofa Czyżewskiego i Małgorzaty Sporek, „Studium Teatralne” Piotra Borowskiego, „Tanto” z Wiednia z Janem Tabaką i Susanne Pillhofer, „Tragon” Anny Zubrzyckiej i Grzegorza Brała, „Stella Polaris” Pera Borga z Norwegii i inne. W parę lat po twoich „Gardzienicach” młodzi artyści zaczęli osiedlać się na wsiach i brać nazwy od tych wsi. Czy, ich odejście było dla Ciebie dotkliwym doświadczeniem?

Włodzimierz Staniewski: Z perspektywy czasu patrzeć na to z wielką satysfakcją. Mówię ludziom, na któ-

rych się decyduje – a proces przyjmowania, to są długie podejścia, zanim zdecyduje się zaprosić do współpracy – mówię buńczucznie: „Wiesz – jedno masz pewne, że jak przejdiesz przez to doświadczenie, to masz zagwarantowane powodzenie w życiu. To nieważne, czy na to powodzenie sam sobie zapracujesz, czy los będzie nad Tobą czuwał, ale tak jakoś wspaniale się stało, że wszyscy, którzy stąd wyszli są w życiu niezwykle dzielni”. Niezwykle dzielni.

Nie mnie się wdawać w to, na ile ich predyspozycje osobiste są podstawą do takich osiągnięć, a na ile doświadczenie, przez które tu przeszli. Może tak jest, że trochę to i trochę to. Ale faktem jest, że wszyscy oni robią rzeczy, co do których można mieć duże poczucie satysfakcji i taki rodzaj pewności, że się nie poroniło. Że tu się nic nie poroni. Jak już się zaciążyło, to wtedy jest pełny, wspaniały noworodek, który pięknie rośnie. O!

Ale oczywiście ja rozstania przeżywam bardzo ciężko, potwornie ciężko. Właściwie z długo noszoną traumą. Aczkolwiek przyczyniam się do rozstań. Kiedy staje się jasne, że doświadczenie wyczerpane i dalsza współpraca będzie grzęźnięciem. Czy nie możemy porozmawiać o czymś wdzięczniejszym?...

(trzaski wyłączającego się magnetofonu)
Taśma się skończyła.

Gardzienice, lipiec 2001



Gardzienice, Włodzimierz Staniewski, Zbigniew Benedyktowicz, Ireneusz Guszpit (odwrócony plecami). Fot. Przemek Sieraczyński

* Podajemy pełną wersję wiersza Edwarda Stachury przytoczonego przez Włodzimierza Staniewskiego w rozmowie za: Edward Stachura, *Wiersze, poematy, piosenki, przekłady*, Czytelnik, Warszawa 1987

EDWARD STACHURA

Życie to nie teatr*

Życie to nie teatr, mówisz ciągle, opowiadasz;
Maski coraz inne, coraz mylne się nakłada;
Wszystko to zabawa, wszystko to jest jedna gra
Przy otwartych i zamkniętych drzwiach.

To jest gra!

Życie to nie teatr, ja ci na to odpowiadam;
Życie to nie tylko kolorowa maskarada;
Życie jest straszniejsze i piękniejsze jeszcze jest;
Wszystko przy nim blednie, blednie nawet sama
śmierć!

Ty i ja – teatry to są dwa.

Ty i ja!

Ty – ty prawdziwej nie uronisz łzy.
Ty najwyżej w górę wznosisz brwi.
Nawet kiedy źle ci jest, to nie jest źle
Bo ty grasz!

Ja – duszę na ramieniu wiecznie mam.
Cały jestem zbudowany z ran.
Lecz kaleka nie ja jestem, tylko ty!

Dzisiaj bankiet u artystów, ty się tam wybierasz;
Gości będzie dużo, niedostępna tyraliera;
Flirt i alkohole, może tańce będą też,
Drzwi otwarte zamkną potem się.
No i cześć!

Wpadnę tam na chwilę zanim spuchnie atmosfera;
Wódki dwie wypiję, potem cicho się pozbieram;
Wyjdę na ulice, przy fontannie zmoczę łeb;
Wyjdę na przestworza, precudowny stworzę wiersz.
Ty i ja – teatry to są dwa.

Ty i ja!

Ty – ty prawdziwej nie uronisz łzy.
Ty najwyżej w górę wznosisz brwi.
I nie zaraźliwy wcale jest twój śmiech.
Bo ty grasz!

Ja – duszę na ramieniu wiecznie mam.
Cały jestem zbudowany z ran.
Lecz, gdy śmieje się, to w krąg się śmieje świat!